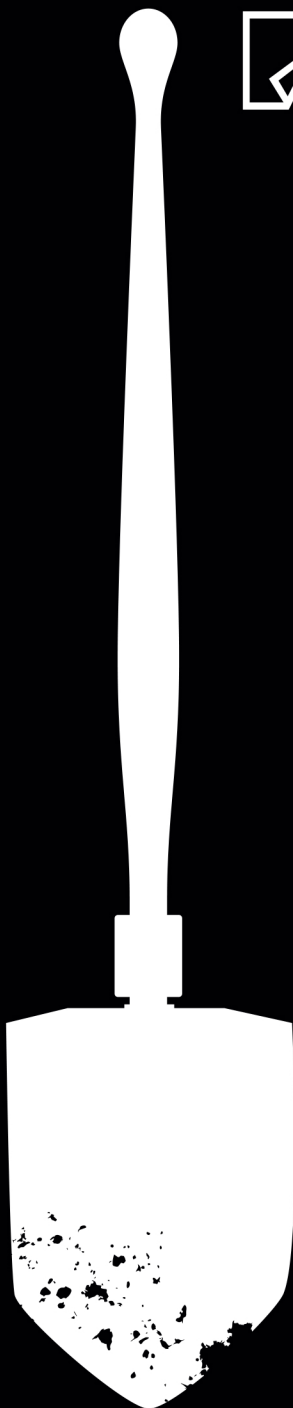


LIZE  
SPIT  
SZPA  
DEL

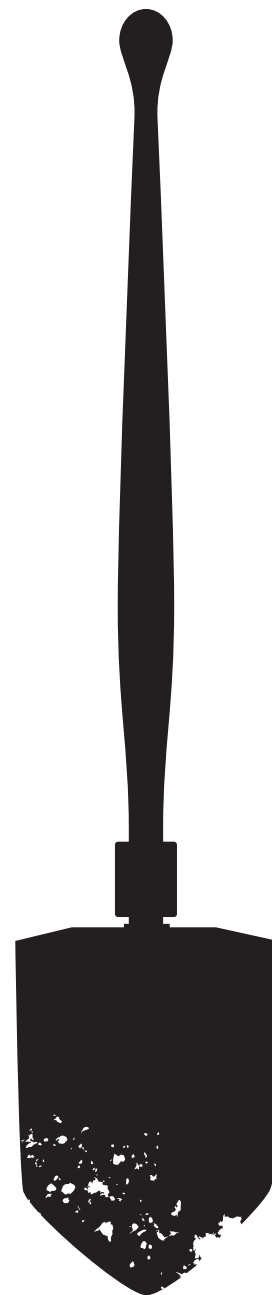


MARGINESY

LIZE  
SPIT  
SZPA  
DEL

przełożył  
Łukasz Żebrowski

MARGINESY



This book was published with the support of  
Flanders Literature (flandersliterature.be).



*Dla Tilde, Jornta i Saar*

*Het smelt*

COPYRIGHT © 2016 Lize Spit, Das Mag Publishers

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Łukasz Żebrowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,  
WARSZAWA 2018

Zaproszenie przyszło trzy tygodnie temu i ktoś nakleił na nie więcej znaczków, niż potrzeba. Ich ciężar, który musiał zwiększyć koszt przesyłki, w pierwszej chwili nastroił mnie optymistycznie: wciąż są rzeczy, które wzajemnie umożliwiają swoje istnienie.

Kopertę znalazłam na kilkunastu listach i ulotkach ułożonych pod drzwiami w dwóch równych kupkach. Autograf mojego sąsiada – stosik, za który jeszcze przyjdzie mi się odwdziaczyć. Pod nadmiernie oklejoną znaczkami kopertą leżały oferta francuskojęzycznego jasnowidza i gazetka ze sklepu z zabawkami zaadresowana do sąsiadów z góry – w mojej skrzynce często znika poczta, która mogłaby sprowokować ich dzieci do marudzenia. Były też rachunki i cztery foldery z taniego supermarketu, każdy z tym samym skąpo nadziewanym indykiem, bożonarodzeniową roladą „kawowe polano” i winem w dobrej cenie. Rzeczywiście nie miałam jeszcze planów na sylwestra.

Podniosłam tę pocztową barykadę, weszłam do mieszkania i z przesyłkami w ręku zrobiłam zwyczajową rundkę, otwierając każde drzwi. Nie wiedziałam, co byłoby gorsze: natrafić kiedyś na włamywacza czy stale oglądać te wszystkie puste pokoje.

Kiedy odwiesiłam płaszcz i zdjęłam rękawiczki, zaczęłam szykować kolację. Obrałam ziemniaka, wycięłam kielki, które wyrosły w świetle słonecznym. Nalałam do pełna wody do czajnika i zapaliłam gaz pod pustym garnkiem, żeby czajnik wiedział, że musi się spieszyć.

Czekając, pochyliłam się nad listem.

Nazwisko i adres były zapisane czarnym długopisem, charakterem pisma, który rozpoznawałam, ale nie od razu potrafiłam zidentyfikować. Czubkiem obieraczki otworzyłam kopertę. Zobaczyłam białą kartkę, zdjęcie niemowlaka i nazwisko. Nawet nie przyjrzawszy się porządnie fotografii, nazwisku ani dacie, wiedziałam, że zdjęcie przedstawia Jana i że nie jest to kartka, jaką wysłała się z okazji narodzin dziecka. 30 grudnia Jan skończyłby trzydzieści lat.

Jeszcze raz spojrzałam na swój adres, nazwę ulicy. Gryzmoły głęboko odcisnęły się na papierze, rozbiegane litery wychodziły nieco ponad wiersze. To było oczywiście pismo Pima. Przez lata siedziałam obok niego w klasie, widziałam, jak wypełnia testy. Nigdy nie pojęłam, dlaczego tak mocno przyciska długopis. Jego odpowiedzi nie stawały się przez to bardziej poprawne.

A więc Pim odszukał mój adres. Przepisał go bez błędu, litera po literze. Samo zaproszenie było wydrukowane. Na wewnętrznej stronie znajdowało się krótkie wyjaśnienie.

„Droga...” W wykropkowanych wierszach było miejsce na moje ręcznie wypisane imię i nazwisko.

„Jak wiecie, w tym miesiącu nie tylko Jan skończyłby trzydzieści lat, lecz otwieramy także naszą niemal całkowicie zautomatyzowaną halę udojową. Czas, żeby raz jeszcze spotkać się przy winie i przekąskach”.

Zdjęłam buty, żeby poczuć pod stopami miękkiego parkiet. Pośmiertna feta na cześć Jana stała się atrakcją mającą przyciągnąć jak najwięcej ludzi na inaugurację nowego interesu.

Dalej nie czytałam. Wyrzuciłam zaproszenie do kosza z resztą poczty i obierkami ziemniaka. Odkręciłam kran, włożyłam dłonie pod zimny strumień, obmyłam twarz wodą.

Z pustego żeliwnego garnka dał się słyszeć trzask i błaganie o wodę. I chociaż czajnik dopiero co zabulgotał, wyłączyłam gaz. Nie byłam już głodna.

Oczywiście zanim jeszcze wytarłam policzki kuchenną ścierką, wiedziałam, że nie mogę tego tak zostawić.

Wyjęłam zaproszenie ze śmieci. Zdjęcie Jana zabrudziło się skrobnią z obierek. Od jego ust odchodziła czarna smuga, sięgająca aż za czoło. Rogiem ściereki próbowałam przesunąć uśmiech Jana na właściwe miejsce.

„15.00 – otwarcie drzwi obory. 15.15 – krótka demonstracja roboty udojowego, a po niej przyjęcie. PS Ubierzcie się ciepło. Nie przynoscie kwiatów, mile widziane zdjęcie albo dobre wspomnienie o moim bracie. Można je wcześniej przesłać mejlem na adres: info@melkerijbezoek.be albo zamieścić na profilu facebookowym Jana. Opis dojazdu na odwrocie”.

Z tyłu na zaproszeniu, pod schematyczną mapą samochodową, umieszczony został łzawy cytat. Przeczytałam go kilka razy na głos, pewnie taki był zamysł Pima. Zdania za każdym razem brzmiały tak, jakby za bardzo chciały coś powiedzieć.

Jest trochę po dziewiątej, właśnie minęłam Vilvoorde. Zegarek w moim samochodzie miga co kilka sekund i wyprzedza o parę minut moją komórkę. Może z powodu tego zimna. Od kiedy jadę autostradą, beznamietna twarz Jana leży obok mnie na siedzeniu pasażera.

Zabrałam ze sobą zaproszenie nie z powodu zdjęcia. Nie muszę też ponownie spoglądać na dokładnie podane godziny ani na opis trasy.

Potrzebuję tylko grubej warstwy znaczków na kopercie. Pim chciał mieć pewność, że dojdzie do mnie to zaproszenie. Oczywiście wiem, że nie wysłał go do mnie takiej, jaka jestem teraz, lecz

do osoby, którą byłam, kiedy jeszcze ze sobą rozmawialiśmy, do Ewy sprzed lata 2002 roku. Dlatego zrobię dzisiaj dokładnie to, co zrobiłabym wtedy: pojawię się mimo odrazy, jaką czuję.

Głos lektora wiadomości dobiega z ogrodu. Jest czwartek. Na drogach utworzyło się tyle korków, że wymienienie miejsc, gdzie w godzinach szczytu ruch odbywa się płynnie, byłoby łatwiejsze. Ostrzeżenie przed upałami w najbliższych dniach. Po prognozie pogody puszczają *Underneath Your Clothes*. Dźwięki zagłusza trzepot skrzydeł podrywających się do lotu ptaków.

Być może dlatego, że wreszcie dobrze spałam, albo z powodu muzyki, którą pulsuje każdy ruch, po raz pierwszy od zimy czuję, że budzę się we właściwym miejscu. Przede mną jeszcze nienapoczęte lato. Dzwony kościelne będą pilnowały długości każdej godziny, nikt nie przyspieszy ani nie opóźni wskazówek, nawet Laurens ani Pim. Po raz pierwszy od pogrzebu Jana ta myśl mnie uspokaja. Muszę po prostu trzymać się nadanego tempa i wszystko będzie dobrze.

Siadam na moim piętrowym łóżku. Dopiero teraz widzę Tesję stojącą przy swoim posłaniu. Jej włosy obcięte na jeża przyklejają się do spoczonej głowy. Lustruje pościel, sprawdza, czy zwisa po obydwu stronach łóżka na dokładnie tę samą długość.

– Spałaś w nocy? – pytam.

Potakuje głową.

Idealny dzień na łamiszczęki.

W drodze po rower spotykam ojca. Stoi i pali papierosa, z niejaką dumą słucha wiadomości nadawanych o jedenastej, czysto

i głośno rozbrzmiewających z radia, które dopiero co zawiesił na czubku wiśni, żeby odstraszało wrony. Opiera się o dobudówkę, którą nazywamy „pracownią”, choć nigdy się tam nie pracuje.

Korek w kierunku wybrzeża jeszcze się nie rozładował z powodu dwóch poważnych wypadków na E40, zdążyłam do obydwu skarpetek schować po pięćdziesięciocentówce. Z każdym krokiem monety przesuują się niżej.

Ojciec wyciąga z ust peta, z którego został sam filtr, rozgniata go kapciem i podnosi.

Ma na sobie czarne džinsy. Kiedyś były to jego spodnie do pracy, ale nie trzymają już fasonu. Tuż nad kolanami materiał wybrzusza się, rezultat pozycji, jaką najczęściej przyjmuje – w kucki, przy skrzynce piwa.

– Eva – mówi.

Pokazuje, że mam iść za nim. Moje imię brzmi w jego ustach czasem jak rozkaz, czasem jak pytanie, rzadko kiedy jak coś mojego.

Wchodzę za ojcem do pracowni. Monety przesuują się wzdłuż kostek do podeszew stóp.

Nazwę „pracownia” wymyśliła matka, kiedy kupili ten dom i każdy wolny pokój mógł się stać wszystkim, jeśli tylko wystarczająco długo tak, a nie inaczej by go nazywali. Ojciec miał tu dokonać wielkich rzeczy. Utrzymywać ogród, przycinać żywopłot, założyć kompost, przebudować łazienkę. Poprzedni właściciele używali tej ostatniej jako sypialni dziecięcej i wykleili ją tapetą w misie. Na środku ojciec wymurował do połowy wysokości ściankę z pustaków, żeby zawiesić na niej umywalkę. Ściany miały zostać wyłożone glazurą, gdy znajdą się na to pieniądze. Jolan odkrył, że dziury w ceglach świetnie nadają się do trzymania w nich szczoteczki do zębów.

– W międzyczasie będziemy mieli wygodę – uznała matka.

Jolan już wtedy wyliczył, że nie ma żadnego czasu między czasem.

Wszędzie w pracowni leżą puste puszkę po piwie i inny chlām. Grzyby pokrywają wewnętrzne ściany. Większość rośnie krzywo na nóżkach i może wyglądać spod kapeluszy, żeby przekonać się na własne oczy, co się tutaj wyprawia.

Ojciec wrzuca rozdeptanego peta do jednej z puszek, w której została jeszcze resztkę piwa.

– Inaczej będzie narzekać. – Wskazuje na drzwi prowadzące do domu, do kuchni.

Na ramionach ojca widać wgłębienia, jakby jego pachy były za ciężkie. Stoimy tak, patrząc na siebie, na środku pracowni usianej wszelkiego rodzaju gadżetami reklamowymi, które sklep z alkoholem Peters dodaje do skrzynki Maes Pils – niebieskimi czapkami z daszkiem, niebieskimi nadmuchiwanyimi tacami do piwa, niebieskimi piłkami plażowymi.

Czy ojciec widzi to co ja: że to miejsce stało się magazynem potencjalnych nagród w loterii fantowej?

Mój wzrok pada na wiertarkę, która nie wisi z innymi narzędziami pod dachem, tylko leży na regale, który niedawno został skrecony i przymocowany do ściany. To był jedyny raz, kiedy użyto tej wiertarki. Trudno powiedzieć, co doprowadziło do czego: wiercenie do postawienia regału czy stawianie regału do wiercenia.

Wszystkie te narzędzia nie pojawiają się tu same z siebie. Mieszkamy blisko Aldiego – na piechotę może trochę za daleko, ale rowerem w sam raz. Co roku znajdzie się tam coś, czego ojcowie jeszcze nie mają. Widać je regularnie, jak wynurzają się na moście nad drogą szybkiego ruchu oddzielającą naszą wieś od sąsiedniej: matki z piłkami włosowymi, masażerami Medion, nożycami do żywopłotu czy szczypcami do grilla zawieszonymi na kierownicy roweru.

Daliśmy ojcu tę wiertarkę w prezencie rok temu. Cieszył się z niej najbardziej, kiedy leżała jeszcze w kartonie na kredensie. Po rozpakowaniu odłożył ją na stos wyprasowanych kuchennych ścierek. Spoczywała tam do momentu, kiedy nie dało się już dłużej odkładać przygotowań do kolejnych urodzin.

– Wiertarki używa się w ciągu jej życia średnio tylko jedenaście minut – mówi ojciec.

– Krótko – mówię.

Sprawdzam, czy cena jest jeszcze przyklejona do pudełka, żeby przeliczyć, jaki będzie koszt jednej sekundy użytkowania. Pewnie powiem o tym zaraz Pimowi i Laurensowi. Mogłoby ich to zaciekawić.

– Spójrz, Eefje, to ci chciałem pokazać.

Ojciec wskazuje na pętlę zwisającą ze środkowej belki pod kalenicą, obok nożyc do żywoplotu.

Reaguję wzruszeniem ramion. Kiedy ludzi coś ani trochę nie obchodzi albo obchodzi ich bardzo, lecz nie znajdują na to właściwych słów, wtedy wzruszają ramionami. Za każdym razem, kiedy to robię, myślę, że należy pilnie wybrać inną część ciała, a przynajmniej inny gest. W anatomii ramion, w przeciwieństwie do anatomii brwi, nie ma miejsca na niuanse.

– Nie każdy potrafi zawiązać pętlę – mówi. – Musi wisieć na ściśle określonej wysokości.

– Widzę. A jaka jest ta określona wysokość? – pytam.

Nie słucha mojego pytania.

– Przy złym węźle człowiek się męczy. Nie chcesz przecież, żebym się męczył?

Spoglądam znowu na pętlę i potrząsam przecząco głową.

– Jeżeli nie spadniemy z wystarczająco dużej wysokości, nie dojdzie do skręcenia karku. Wtedy trwa to bardzo długo. A jeżeli spadniemy ze zbyt dużej wysokości, kark się rozrywa, a tego nie chcemy robić ludziom, którzy nas znajdują. Prawda?

– Nie, nie chcemy – mówię.

Ojciec ma na głowie czapkę. Pot z minionych dni wsiąkł w nią i wysechł. Sól zostawiła na wysokości czoła białe, wijące się ślady. Im cieplejsze dni, tym wyżej sięga biała kreska.

Ojciec przygląda mi się w milczeniu, zdejmuje czapkę, sprawdza, czy widać na niej coś szczególnego. Niczego nie zauważa. Czapka znowu ląduje na jego głowie, tym razem tył na przód.

Nie potrafię myśleć o nim inaczej: ten mężczyzna jest moim ojcem. Jest starszy od przeciętnego ojca, ponieważ późno poznał kogoś, kto chciał urodzić jego dzieci. Pracuje w banku, robi tam rzeczy, o których nigdy nie opowiada w szczegółach i o które inni także nigdy go nie pytają, ponieważ ludzie wychodzą z założenia, że skoro ktoś sam o czymś nie mówi, to nie ma tematu. Żeby dotrzeć do pracy, musi codziennie – także w deszcz – jechać rowerem na przystanek autobusowy, a potem przez pół godziny siedzieć w autobusie. Zarabia akurat tyle, żeby utrzymać rodzinę, która nie stawia pytań, zapłacić za dach nad głową, pod którym wieszka prezenty kupowane przez rodzinę za jego pieniądze wbrew jego woli.

Jestem najstarszą córką tego mężczyzny, więc nie mogę teraz tak po prostu sobie potakiwać czy odpowiadać na pytania, nie znając dokładnie jego zamiarów.

Zmuszam do czegoś swoją twarz. Nie do uśmiechu ani do współczucia. Może do wyrazu zrozumienia, chociaż nie wiem, jaki grymas miałby mu odpowiadać.

– Myślisz tak jak twoja matka, że ten stary przyk nigdy nie mówi poważnie tego, co mówi. Że ten stary przyk się na to nie zdołą? będzie?

Ojciec mówi zawsze „twoja matka”. Mama tak samo. Gdy chodzi jej o tatę, mówi „twój ojciec”. To nie do końca uczciwe. Próbują w ten sposób gdzieś się ulotnić, udając, że to ja jestem tą, która ich wybrała.



– Chcesz, żebym ci zademonstrował?

Bierze rozklekotaną drabinę, rozstawia ją dokładnie pod stryczkiem i wchodzi po stopniach. Gdy znajduje się na trzecim, drabina zaczyna się niebezpiecznie chwiać. Podchodzę bliżej, ustawiam się z boku, żeby ustabilizować konstrukcję. Monety przesuwały się pod moimi stopami. Wiadomości radiowe o jedenaście się skończyły, teraz czas na reklamę.

– Nigdy nie przepłacaj. Jeżeli znajdziesz to samo urządzenie w innym sklepie za niższą cenę, zwrócimy ci różnicę.

Ojciec dociera na szczyt drabiny. Balansuje, stojąc dwoma nogami na najwyższym stopniu, bezpośrednio pod stryczkiem. Sznur kołysze się, odchyła w bok, wraca i stuka go w potylicę. Ojciec niemal traci równowagę. Mogę go tylko ustrzec przed upadkiem. Nie mogę go ustrzec przed tym, żeby nie skoczył. Siła, z jaką zapieram się stopami, powoduje, że monety piją mnie jeszcze bardziej. Na podeszwach stóp do końca życia będę miała odcisniętą głowę króla Alberta II.

Ojciec pociąga za pętlę – jest wystarczająco solidnie zamocowana. Zakłada ją sobie na szyję. Rzuca spojrzenie na swoje niebieskie imperium. Kiwa głową. Wygląda na zadowolonego.

– Ludzie, którzy się wieszają, często zdzierają sobie skórę na szyi. Szkoda jej. Ale nie trzeba żałować – mówi.

Kiwam głową.

– Eva, czy ty mnie w ogóle słuchałaś?

Ponownie kiwam głową.

– To co ja w takim razie mówiłem?

– Że nigdy nie trzeba żałować – odpowiadam.

– Nie słyszę cię.

– Nigdy nie trzeba żałować – powtarzam głośniej.

Dopiero teraz spogląda w moim kierunku, widzi, że stoję, podpierając drabinę.

Przez chwilę milczy.

– Musisz coś zrobić ze swoją fryzurą, Eva – mówi. – Jest do niczego.

Moje włosy mają idealną długość: są wystarczająco krótkie, żeby je trzymać rozpuszczone, kiedy jest zimno, i wystarczająco długie na kucyk w ciepłe dni. Ojciec musi się jeszcze do nich przyzwyczaić. Tydzień temu obciąłem je sama o kilka centymetrów, bo rozdawały mi się końcówki. Zrobiłam to przed lustrem w zagrzybionej łazience, nad stojącym tam staroświeckim meblem, używając nożyczek, którymi mama czasem kroi materiał na ubranie.

– Dziękuję, że przytrzymałaś drabinę, Eva – mówi ojciec. Zdążył zdjąć stryczek z szyi i znowu stoi dwa stopnie niżej. – Tylko ty o tym wiesz. Nawet mama nie ma o tym zielonego pojęcia. I niech tak zostanie. – Szuka czegoś w kieszeni spodni. Opierając się lędźwiami o środkowe stopnie drabiny, zapala nowego papierosa. – To, że ci to pokazałem, to przypuszczalnie dobry znak. – Zasysa policzki. Ostrożnie schodzi po kolejnych stopniach. Gdy jest już na dole, klepie mnie po ramieniu tak mocno, że tracę równowagę. Klepięcie z rodzaju tych, jakimi ojcowie częstują swoich synów.

– Palenie ci nie służy – mówię.

W oknie Sklepiku leży kilka raiderów wystawionych na wykładzinie ze sztucznej trawy. Właściwie raiderów już nie ma – zostały przemianowane na twixy – ale nikt nie ma odwagi powiedzieć o tym Agnes. Agnes prowadzi ten interesik od niepamiętnych czasów.

W wąskim, głębokim pomieszczeniu jest z grubsza wszystko, co powinno się znaleźć w sklepie spożywczym. Mimo to większość klientów przychodzi tu tylko po rzeczy, które nie mogą się zestarzeć, pomarszczyć czy wyschnąć. Kuzyn Laurensa odważył się kiedyś wrócić z opakowaniem klusek, którym upłynął termin ważności.

– To nie data ważności, chłopcze, tylko data produkcji – warknęła Agnes.

Po krótkiej dyskusji makaron został wymieniony na małe opakowanie flamastrów. Kilka godzin później na szyldzie obok napisu ZAPRASZAMY PO SUCHE PRODUKTY znalazł się dopisek KTÓRE DOPIERO ZOSTANĄ WYPRODUKOWANE. Agnes nigdy nie próbowała go zmyć. Wprost przeciwnie. Wspecjalizowała się w fałszowaniu dat ważności. Cienkim piórem trójki przerabia na ósemki i dziewiątki, styczeń jedną poziomą kreską przemienia w lipiec. Wie, że mieszkańcy wsi i tak będą przychodzić: kto chce wybrzydzać, musi jechać dziesięć minut samochodem do najbliższego przysiółka po kilogram mąki. Zawsze trzymamy się zasad tylko do pewnych granic. Nawet kuzyn Laurensa miał jeszcze wrócić po kluski.

Wchodzę do środka. Ten dzień dobrze się zaczął. Byłam mu jeszcze winna łamiszczeni. Moja obecność zostaje zaznaczona dźwiękiem dzwonka, nie takim jak w mięsny; ten tutaj przypomina bardziej gwizd.

Sklepowe rolety są prawie całkiem opuszczone, w środku panuje półmrok. Między zapełnionymi towarami regałami panuje zatechły chłód. Zbyt długo zatrzymywany poranek. Czekam i obserwuję drzwi do części mieszkalnej z tyłu sklepu. Tam zwykle zaszywa się Agnes, rozwiązuje skserowane krzyżówki. Możliwe, że stoi tam fotel i stół, jest kuchnia. Nie ma nikogo, kto by to potwierdził.

Wciąż czekam, bo Agnes nie lubi klientów, którzy pod jej nieobecność zaczynają myszkować. Rozwiązuję sznurówki, wyłamiam monety ze skarpetek. Rano nie musiałam ukrywać pieniędzy. Mama i tak nie widziała, jak wychodziłam.

– A, Eva – dociera do moich uszu.

Kończę ze sznurówkami i się prostuję.

Agnes spieszy się do lady, idzie lekko pochylona. Z wiekiem zgarbiły jej się plecy i przypominają teraz dostawiany stolik. Laurens zapytał kiedyś żartem, ile szklanek piwa Agnes uniesie na

łopatkach bez rozlewania. Dzisiaj doliczyłam się ośmiu. Muszę to zapamiętać, może zaraz będę mogła mu o tym powiedzieć.

Idę za Agnes między szarymi regałami z gąbkami, wykałaczkami, podpaskami i plastikowymi kwiatami. Wie, po co przyszłam. Słodyczne leżą w środkowej alejce.

– Gdzie są dwaj pozostali muszkietierowie, syn rzeźnika i ten drugi, syn gospodarza? – pyta.

Wzruszam ramionami.

Od kiedy mąż Agnes odszedł z innym mężczyzną, od kiedy na szyldzie pojawiło się to drugie hasło, klienci nie mogą już sami nabierać cukierków, nawet ja.

Proszę grzecznie o dwadzieścia kwaśnych hostii, pięć tasemek i dwie paczki łamiszczeni. Agnes wrzuca słodyczne do papierowej torebki w kształcie rożka.

– Wybierasz się jeszcze dzisiaj na przejażdżkę z bratem Jana? Podzielisz się z nim? – pyta.

Kiwam przekonująco głową, chociaż nie jestem pewna, jak będzie.

Dokłada mi wszystkiego po trochu.

Z torebką na kierownicy jadę przez wieś. Skanuję puste ulice w nadziei, że jeżeli będę wystarczająco długo patrzeć, Laurens i Pim powstaną z kolaży dawnych wspomnień. Po godzinie słodyczne się kończą. W ustach czuję kwaśne pieczenie. Mam ciężki żołądek. Powinnam była zostać w domu. Możliwe, że próbowali się do mnie dodzwonić.

Mijam mięsny.

Nie ma zazwyczaj opartego o fasadę roweru Laurensa. Może Laurens ma nowych znajomych albo hobby, o którym nic mi nie powiedział, i wyszedł z domu. A może jego rower stoi po prostu w garażu, a on woli w taką pogodę oglądać telewizję, niż być ze mną.

Przez wielkie okno wystawowe zaglądam do środka sklepu. Ksiądz wybiera mięso. Wskazuje kielbasę szynkową. Matka Laurensa wrzuca blok mięsa na kralajnicę. Przez otwarte drzwi sklepu słyszę, jak ludzie powoli się przesuują. Dźwięk krojenia mięsa nie przypomina odgłosu czegoś, co pęka, lecz odgłos czegoś, co się drze.

Laurens miał rację. „Krowa składa się z miliona włókien” – powiedział kiedyś w szkole podczas południowej przerwy, kiedy z miąższu chleba lepił kuleczki i każdą z nich przybierał włóknem wyciągniętym z kielbasy. – „Kiedy się to dostrzeże, cięcie mięsa przestaje być czymś nieprzyjemnym”. – Nie brzmiało to jak coś, co sam wymyślił, ale już sam fakt, że to zapamiętał, zrobił na mnie wrażenie.

Przyglądanie się matce Laurensa prawie zawsze mnie uspokaja. Z ruchu jej rąk odczytuję, że mówi o pogodzie, która się zmienia. Potem układa na wadze stos świeżo pokrojonych plasterków salami.

Kiedy stoję, patrząc, jak ksiądz z aprobatą kiwa głową i płaci za mięso, dopada mnie smutek, który od jakiegoś czasu się nie pojawiał i – myślałam, miałam nadzieję – zniknął na dobre.

Teraz wiem, że nic nie może mu się oprzeć niezależnie od tego, czy przyszłam punktualnie, siedzę na krześle we właściwej klasie, w stroju, do którego wszyscy przywykli, czy patrzę na mięso, czy też nie patrzę na mięso. Brakuje mi czegoś, wszystkiego, jakbym kiedyś była pełniejsza, bardziej kompletna i jakby coś we mnie jeszcze sobie przypominało, jakie to było uczucie.

Dopada mnie to zawsze, kiedy na stojąco biorę kąpiel. Wtedy coś osiada na mojej skórze. Zamyka mnie w sobie, napina się, uświadamia mi, że jestem nie tam, gdzie powinnam.

Może wzięło się to stąd, że urodziłam się krótko po bliźniakach, macica była jeszcze porozciągana – pomyślałam ostatnio.

Może mama przywierała do mnie zbyt luźno już przez te pierwsze dziewięć miesięcy.

Zanim matka Laurensa zdołała się zorientować, że ją obserwuję, już zniknęłam z jej pola widzenia.

Burza rozpętuje się, kiedy jeszcze wracam do domu. Pierwsze krople deszczu są ciepławe. Nie mogło być inaczej, w ostatnich dniach nawet z zimnego kranu leciała ciepła woda. Szukam drzewa, pod którym mogłabym się schować, zatrzymuję się pod iglakami rosnącymi wzdłuż naszego ogrodu, patrzę, jak wokół mnie szaleje żywioł. Strugi deszczu załamują się w porywach wiatru.

Nie powinniśmy nigdy dawać ojcu w prezencie narzędzi, a z całą pewnością nożyc do żywopłotu. Już od dwóch lat wiszą beczynnie pod dachem, uchwyty do dołu. Kiedy wieje, ożywiają się. Być może to go zainspirowało.

Początkowo gałęzie nie przepuszczają niczego, ale szybko zaczynają przesączać się przez nie duże, nieregularne krople. Nie przeszkadza mi, że moknę.

## CZTERY CIENIE

Było nas troje, ale mieliśmy cztery cienie. Jolan, mój starszy brat, byłby jednym z dwojga bliźniaków, gdyby jego pępowina nie okręciła się wokół szyi siostrzyczki.

Podczas ich narodzin w 1985 roku – cztery tygodnie przed terminem – powstała masa zdjęć, które potem wklejono do albumu za pomocą taśmy dwustronnie przylepnej. Pod nimi data, dokładna godzina, imiona nieznanymi wujków, wspaniałe życzenia – realne, ponieważ częściowo w ogóle nie trzeba było ich urzeczywistniać.

JOLAN DE WOLF I TES DE WOLF. Na kartce rozsyłanej z okazji narodzin przy drugim nazwisku widniał czerwony krzyżyk, kartki pogrzebowej sobie oszczędzono.

Mniej więcej wtedy, kiedy Jolan mógł opuścić inkubator – przesadnie podkreślał ojciec – urodziłam się ja.

Stało się to jakoś w połowie 1988 roku, koło północy. Byłam dziewczynką. Miałam na imię Eva. Również ja przyszłam na świat sama. Ojciec palił wtedy na zewnątrz.

Jolan był nieduży, jego ciało rozwijało się z opóźnieniem, ja od samego początku byłam potężniejsza. W pierwszym roku życia zrobiono mi najwyżej pięćdziesiąt zdjęć. Przy żadnej fotce nie zapisano godziny, nie było wizyt nieznanymi cioc i wujków.

„Nogi słońca” – napisał ojciec pod zdjęciem, na którym po raz pierwszy robię użytek ze swojej nóżki. Z innych podpisów mogłam wywnioskować, że zostały umieszczone później, ponieważ

odnosiły się do minionego czasu, zawierały już ocenę sytuacji. „Eva, tutaj jeszcze jasna blondynka”. Albo: „styczeń, wtedy jeszcze umiała się śmiać”.

Trzy lata później, w 1991 roku, przyszła kolej na Tesję. Ojciec zrobił jej już tylko parę zdjęć, które nawet nie trafiły do albumu. Tesje od małego była kruchej budowy, drobniejsza niż my. Miała cienką skórę przetykaną żyłkami i delikatne jasne włosy.

– Co chcesz? Po dwójce dzieci zabrakło na nią surowca – miał według mamy zażartować po porodzie.

Może chciał być hardy, może powiedział to w emocjach. Ale zabrzmiało to tak, jakby się usprawiedliwiał przed pielęgniarkami, jak kobiety, którym nie bardzo udało się jakaś potrawa.

– Tak samo mówił mój ojciec, cholera jasna. A poza tym masz czworo dzieci, a nie troje – powiedziała mama.

Ze sposobu, w jaki do tego wracała, powtarzając za każdym razem „cholera jasna”, wywnioskowałam, że od tego się zaczęło. To był jej odwieczny zarzut.

Wybór imienia poprzedziła długa dyskusja. Mama chciała „Tesję”, ojciec wołał inne imię, najlepiej „Lotte”, w ostateczności „Lotje”. Ale może chcąc coś naprawić, przystał na propozycję mamy. Tesje stała się wyrazem czci.

Kiedy skończyła dwa lata, zaczęli do niej mówić „Kakkernestje”, opuszczając przy tym „t”. „Kakkernest” było pieszczotliwym określeniem najmłodszego dziecka w rodzinie, słowem, które mama przywoziła ze swoich stron, z domu styanizowanego przez ojca, gdzie była najstarsza z rodzeństwa. To słowo miało w sobie coś tragicznego – przywodziło na myśl świnki morskie, które w jednym końcu klatki robią kupę (*kakken*), a w drugim śpią. Dobrze wiedzieliśmy, że to przezwisko nie wzięło się z nostalgii, lecz z żalu, że Tesje dostała takie, a nie inne imię. Matka nie chciała się do tego przed ojcem przyznać. Mimo to wszyscy tak

mówiliśmy na Tesje. Jedyną rzeczą z dzieciństwa, do której matka odnosiła się z dumą, był język.

Wraz z przyjściem Tesje na świat zajęłam w rodzinie pozycję środkową, byłam tą, która przy tworzeniu się frontów zawsze mogła przejść na jedną albo drugą stronę, w zależności od tego, czy chciałam być w koalicji czy w opozycji.

Jeszcze zanim urodził się Jolan, matka z ojcem przenieśli się z pobliskiej większej wsi do domu z trzema sypialniami w Bovenmeer.

Bovenmeer było przysiółkiem, w którym dla zachowania równowagi między podażą a popytem albo coś występowało w pojedynkę, albo tego w ogóle nie było: jeden sklepik, jeden fryzjer, jeden piekarz, jeden rzeźnik, ani jednego mechanika rowerowego, jedna biblioteka z księgozbiorem do przeczytania w trzy miga, jedna mała podstawówka.

Przez lata o wszystkim, co znajdowało się we wsi, mówiliśmy, używając rodzajników określonych, jakbyśmy wymieniali należące do nas przedmioty, które można wziąć między kciuk a palec wskazujący. Jakbyśmy po długiej wojnie z dużymi miastami i okolicznymi wsiami zajęli prototypy spożywczaka i mięsnego i okopali się w nich nieopodal kościoła i sali parafialnej, dokąd zewsząd można dojść na piechotę, dokąd każdy ma rzut beretem.

Sprzedawcy korzystali z tego; z wygodnictwa czy z pychy nie zadawali sobie trudu, żeby wymyślić oryginalniejszą nazwę niż Rzeźnik czy Sklepik, z rzadka tylko coś dopisywali, na przykład własne nazwisko.

Było parę wyjątków. Mieliśmy dwie kawiarnie. Mężczyźni opuszczający Noc często przystawali na chwilę, wsparci o framugę, by po chwili wahania udać się do Gościńca, gdzie serwowano piwo od samego rana.

Często powtarzały się imiona: Tim, Jan i Ann. Zarówno Pim, jak i Laurens mieli brata o imieniu Jan, choć od zimy 2001 roku każdy z nich miał go w inny sposób. Laurens wciąż był kimś, kto ma brata, Pim zaś kimś, kto tylko miał brata.

Między Gościńcem a salą parafialną stał pusty kurnik, który nazywano Kosowo. Miesiącami mieszkała w nim rodzina albańskich uchodźców. Kiedy zniknęli, różne stowarzyszenia zaczęły trzymać tam swoje rupiecie.

Długo nie było dla mnie jasne, po co matka i ojciec zamieszkali w Bovenmeer. Czy myśleli, że poradzą sobie we wsi, w której co roku urządzano festyn parafialny, gdzie nikt nie robił min, gdy po paczkę serwetek wysyłano kogoś do Kosowa.

# Blok lodu w bagażniku, historia z przeszłości i strycek w szopie. Mroczna opowieść o przyjaźni, zdradzie i zemście.

We flamandzkiej wsi w jednym roku urodziła się trójka dzieci: Eva i dwóch chłopców, Pim i Laurens. Wychowywali się razem, byli nierozłączni, dlatego nawet sąsiedzi nazywali ich „trzema muszkietierami”. Kiedy jednak zaczynają dojrzewać, stopniowo się od siebie oddalają...

To wtedy chłopcy wpadają na pomysł okrutnej zabawy. Zadają dziewczynom tę samą zagadkę, wymyśloną przez Evę. Za prawidłową odpowiedź można dostać dwieście euro. Za każdą złą trzeba się wykupić, zdejmując jedną część ubrania.

**Trzyście lat po skwarным lecie, które wymknęło się spod kontroli, Eva wraca do rodzinnej wsi z blokiem lodu w bagażniku. Powoli staje się jasne, że tym razem to ona ustala zasady, a wizyta w rodzinnej wsi ma ściśle związek z tym, co wydarzyło się w przeszłości.**

Doskonały debiut niespełna trzydziestoletniej flamandzkiej pisarki i scenarzystki, który stał się sensacją (do dziś książkę przeczytało ponad 170 tysięcy osób) i zdobył liczne nagrody.

cena 39,90 zł



w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY

